

Wspomnienie o ojcu Józefie Oleksym SJ *przedruk z czasopisma „Misyjnym Szlakiem”*

PIERWSZE LATA KAPŁAŃSKIEJ PRACY

O. Józef Oleksy pochodził z Sądecczyzny. Miał zawsze bliskie kontakty z rodziną i ojczyzną bądź to przez media elektroniczne, bądź przez regularne odwiedziny w kraju. Po święceniach kapłańskich i ukończonych studiach specjalistyczny w Warszawie na Akademii Teologii Katolickiej pięknie duszpastersko pracował w Gliwicach, w parafii św. Bartłomieja, która w tym czasie była pod opieką krakowskiej prowincji jezuitów. O. Józef wspominał bardzo dobrą atmosferę współpracy w tej wspólnotce. Był też socjuszem o. magistra w nowicjacie w Starej Wsi. W obydwu placówkach zaszły pewne zmiany. Dziś parafia Bartłomieja w Gliwicach przeszła pod zarząd diecezji gliwickiej, a klasztor w Starej Wsi, w którym ongiś znajdował się nowicjat krakowskiej prowincji jezuitów przeniesiony został do Gdyni, otrzymał obecnie nową rolę w prowincji.

ZAMBIA I JEJ WYZWANIA

Gotowy do służby ojciec Józef przybył na misje do Zambii w Afryce. Rozpoczął w trudnej placówce misyjnej Katondwe, 300 km od Lusaki, stolicy Zambii... Katondwe leży w dolinie rzeki Luangwa, gdzie panuje



bardzo gorący klimat. Placówka ta została założona przez jezuitów z dawnej prowincji galicyjskiej około 1912 roku, kiedy misjonarze katoliccy zostali wygnani z kolonii portugalskiej na terenie obecnego Mozambiku. Przeszli oni po prostu przez rzekę i znaleźli się na terenie kolonii angielskiej, gdzie nie prześladowano chrześcijan.

Panował tu jednak bardzo niezdrowy klimat. Do tego grasowała mucha tse-tse, która roznosi groźne pasożyty powodujące chorobę zwaną śpiączką afrykańską. Na szczęście w latach osiemdziesiątych XX wieku zaraza śpiączki została u nas właściwie zażegnana. Pozostały natomiast trudne, nieraz wręcz prymitywne, warunki życia, bez prądu czy telefonu, z dala od miasta. Jedyłą pociechą dla ojca Józefa była obecność polskich sióstr służebniczek Najświętszej Maryi Panny ze Starej Wsi, które prowadzą w Katondwe szpital misyjny.



Z powodu panujących tam upałów prawie non stop pije się zimną wodę, często z cytryną, których na tym terenie nie brakuje. Organizm ciągle się poci.

Misja ma lodówkę, ale na parafinę. Woda dostarczana jest z kolei przez urządzenie, które samo pompuje ją ze stawu bez użycia energii elektrycznej czy słonecznej. Urządzenie to, w języku angielskim nazwane „ram”, a po polsku „taran wodny” lub „taran hydrauliczny”, przepompowuje wodę i raz uruchomione pracuje, dopóki się nie zepsuje. Nie jest napędzane przez żaden silnik, a energię czerpie z przepływającej w nim, doprowadzonej ze zbiornika (lub strumienia) wody. Ta bezsilnikowa pompa musi być zainstalowana co najmniej metr poniżej lustra wody. Taran może wyrzucić wodę nawet na wysokość powyżej 30 m.

To prawdziwe „perpetuum mobile” – wynik ludzkiej inwencji i talentu – wymyślone i skonstruowane w XVIII wieku przez Brytyjczyka Johna Whitehirsta, a dopracowane przez braci Montgolfier (wynalazców balonu) zostało sprowadzone prawdopodobnie z Anglii i zastosowane do przepompowywania wody na misji w Katondwe, przez jezuitów. Jezuitcy bracia zakonni, misjonarze dokonali tej instalacji na wpływającym na teren misyjny potoku, przy wcześniej wybudowanej na nim zaporze, co zapewniło zaopatrzenie w wodę pitną dla domu misjonarzy i sióstr zakonnych oraz miejscowego szpitala. Pompy pracują do dziś i nadal zaopatrują w wodę szpital oraz domy zakonne.

Dzięki sprytnemu przedsięwzięciu misja w Katondwe ma czystą bieżącą wodę. Natomiast temperaturę wody w kranie „reguluje” godzina odkręcenia kurka. Słońce tak mocno nagrzewa wodę, że w południe nie



można z niej korzystać, bo w kranie płynie niemal wrzątek. Najlepsza pora na prysznic to wczesne godziny poranne, około 5 rano, kiedy robi się już jasno



POŚLUGA O. JÓZEFA

Właśnie w takich warunkach pracował ojciec Józef, zawsze pogodny, uśmiechnięty, gotowy do pomocy i posługi sakramentalnej. Najczęściej wyjeżdżał on z Katondwe do różnych stacji misyjnych, gdzie odprawiał msze św., udzielał sakramentów czy organizował i prowadził rekolekcje. A nie było to łatwe. Ojciec Oleksy musiał się zmagać z trudnościami lokalnego języka, całkowicie innego niż języki europejskie. Obca kultura, zupełnie inny świat, a jednak ojciec Józef łatwo nawiązywał kontakty. Przemawiał do ludzi językiem miłości i szacunku dla każdego. Kiedy wracał z misji, często zakurzony od pyłu na piaszczystych drogach (asfaltu wtedy tam nie było), był zmęczony fizycznie, za to radosny duchowo dawał zbudowanie współbraciom. Zdobył się też na czyn, który budzi podziw zakonnych współbraci. Otóż ojciec Józef postanowił przekroczyć rzekę i „odbić” stracone pozycje misyjne w Mozambiku. Tamtejsi wierni, używający tego samego języka nyanja, usilnie prosili o kapłana i posługę duchową. Ojciec Oleksy zgodził się, pod warunkiem jednak, że parafianie uzyskają pozwolenie policji w Mozambiku na przekroczenie granicy i odwiedzenie placówek misyjnych, gdzie ludzie nie widzieli katolickiego kapłana od wielu lat. Pozwolenie takie zostało uzyskanie.

Ojciec Józef przepłynął więc łodzią na drugą stronę pełnej krokodyli rzeki, poprosił o rower i udał się do odległej misji w Miruru. Mury dawnego kościoła (bardzo solidnie zbudowanego) ocalały, ale wszystko inne zostało tam zniszczone przez ząb czasu bądź po prostu rozkradzione. Mimo to ojciec Józef odprawiał tam Msze św., chrzczył, spowiadał u udzielał duchowej pomocy wiernym.



Z KATONDWE DO MALAWI

Misja w Katondwe była i nadal jest bardzo trudna, a zdrowie ojca Józefa (szczególnie serce) zaczęło szwankować. Przełożeni zakonni wyznaczyli mu zatem inną misję. Wysłano go do sąsiedniego, ubogiego kraju

– Malawi. Tam został proboszczem nowo założonej jezuickiej parafii pw. Św. Józefa w miejscowości Kasungu, 140 km na północ od Lilongwe, stolicy Malawi. Kasungu to spore miasto, a parafia obejmuje dużą liczbę stacji misyjnych. Ojciec Oleksy ponownie oddał się posłudze duchowej swych parafian. Prawie cały tydzień spędzał na wyjazdach i odwiedzinach wiernych w oddalonych biednych afrykańskich wioskach.

Miał on gorące serce dla najmłodszych. Widząc ogromną biedę i małe szanse na zdobycie wykształcenia przez dzieci w wieku szkolnym, zorganizował dla nich pomoc materialną, zdobywając fundusze na opłaty szkolne, zeszyty, ołówki czy mundurki, a niekiedy nawet – dla najbiedniejszych – na wyżywienie. Wszystko to zasługa Ojca Józefa.

MODLITWA I RELAKS

Poza tym był bardzo pobożny, choć się z tym nie afiszował. Od czasu do czasu jechaliśmy nad słynne, ogromne jezioro Malawi (dawniej zwane jeziorem Nyasa). Na skraju pięknych piaszczystych i dziewiczych plaż – gości czy turystów przeważnie tam się nie spotykało – wchodziliśmy do ciepłej, poruszonej lekkimi falami wody. Nie było tam głęboko i można było się ochłodzić. A co robił ojciec Józef? Nie wchodził do wody, tylko odmawiał brewiarz albo różaniec i pilnował naszych ubrań... Po odpoczynku i skromnym posiłku wracaliśmy tego samego dnia do Kasungu, dobre dwie godziny jazdy samochodem przez park narodowy.

POWRÓT DO OJCZYZNY

W ciągu ostatnich lat ojciec Józef planował powrót do kraju, by nie być ciężarem na misji w razie swojej choroby i móc popracować jeszcze w ojczyźnie. Został operariuszem w jezuickiej parafii w Nowym Sączu. Jednak po paru latach Pan powołał go do swojej ojczyzny, tej niebieskiej...

Niech znajdzie radość w obecności Pana, któremu służył tak wiernie zarówno w Polsce, jak i na misji w Afryce.

POST SCRIPTUM

Na koniec jeszcze jeden wątek, nieco humorystyczny... Kiedy ojciec Józef Oleksy podróżował, przeważnie zakładał koloratkę. Nie lubił prowadzić samochodu, wolał siadać na tylnym siedzeniu i albo sobie tam drzemać, albo coś czytać lub się modlić. Stwarzało to niekiedy zabawne sytuacje na punktach kontroli policyjnej. Gdy policjanci widzieli na tylnym siedzeniu księdza w koloratce, myśleli, że to biskup, więc tylko nisko się kłaniali i pozdrawiali grzecznie Jego Ekscelencję, życząc dobrej podróży. Nigdy nie odważyli się sprawdzać stanu technicznego samochodu albo prawa jazdy „kierowcy Księdza Biskupa”...

Inna historia dotyczy, również zmarłego, zambijskiego biskupa, jezuitę Paula Lungu. Na jednym ze spotkań ojciec Oleksy chciał sobie zażartować i pozdrowił swego współbrata Paula Lungu mówiąc: „Witam Jego Eminencję”... Sęk w tym, że Paul naprawdę był już mianowany biskupem, jednak wtedy była to jeszcze tajemnica, którą Watykan miał dopiero ogłosić. Paul pobladł i nie wiedział co powiedzieć. Myślał, że sekret się wydał. Tymczasem to był tylko żart Ojca Józefa, niemniej proroczy.

*Ojciec Gerard Karas SJ
Lilongwe, Malawi*